

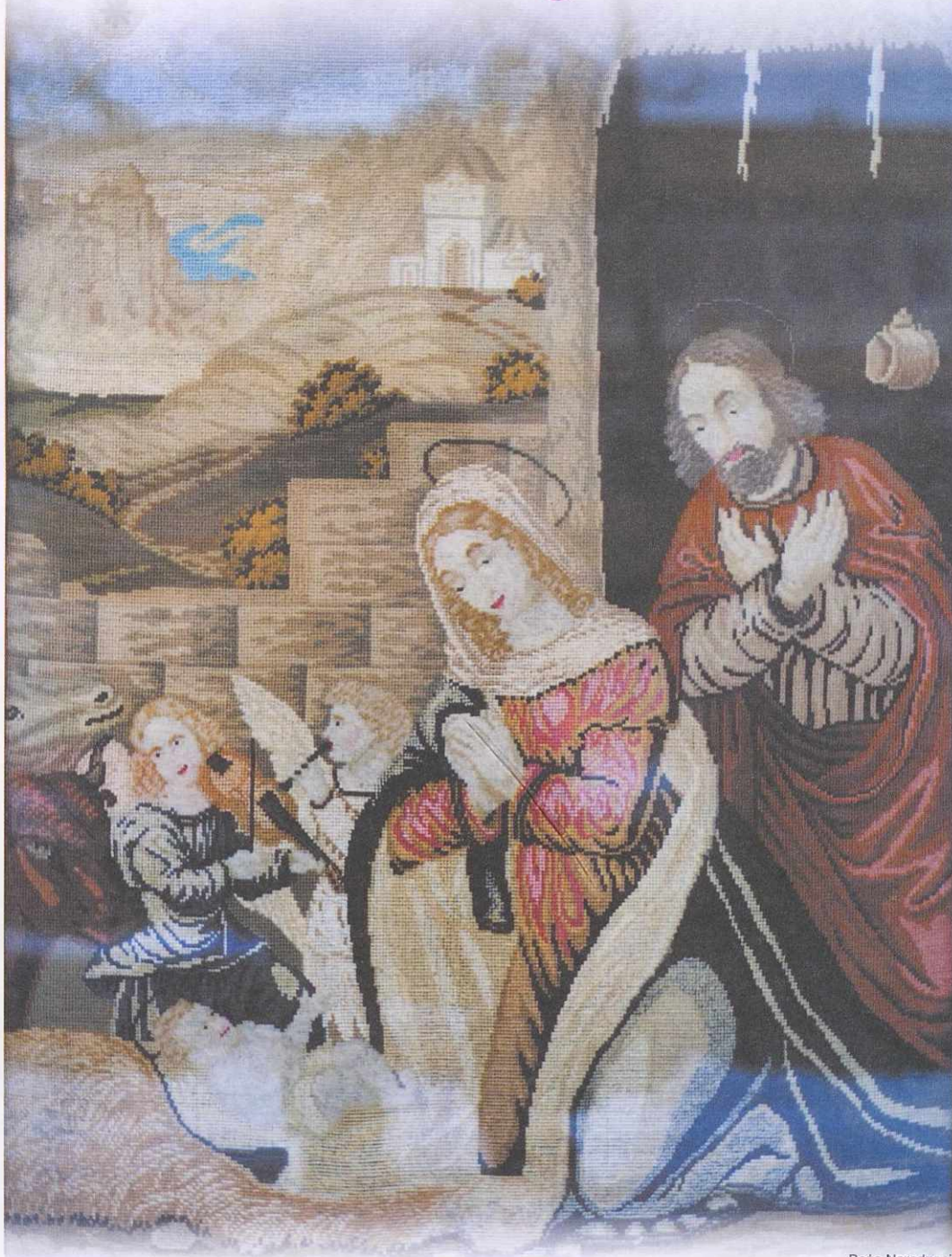
bezwierszówki



Miesięcznik społeczno-kulturalny

ISSN 1732 7327

Wielka Tajemnica Powaga życzeń



Boże Narodzenie
(XIX wiek, prawdopodobnie Holandia) gobelin:
olsztyńska Galeria Antyk

*Na dni Bożego Narodzenia i Nowy Rok
życzymy optymizmu w zdrowiu, i wiary,
że niemożliwe jest możliwe – Redakcja*

Mówi się o tym Powaga życzeń

Zalóżmy, że składane przy lada okazji życzenia „Wszystkiego dobrego na Święta Bożego Narodzenia i pomyślności w Nowym Roku”, są doprawdy szczerze. Skoro szczerze, to jest duże prawdopodobieństwo, że się ziszczą. Gdyby tak się stało, nasze życie byłoby znacznie bardziej znośne. Czy więc życzymy nieszczerze? Z pewnością szczerze z domieszką życzliwości i stosowną porcją miłego uśmiechu. Cóż, skoro sami najszczerzych życzeń do siebie nie dopuszczamy. Życzyłem bliźnim, by zmienili się na lepsze, mnie to nie dotyczy; by wykazywali wiele tolerancji, darzyli miłością, dzielili się z potrzebującymi, by dzieci mówiły prawdę, przepraszały, dziękowały, nas to nie dotyczy – nas, charaktery wzorcowe. Świata nie zmienisz – powiada mędrzec i dodaje z surowością w głosie: – ale siebie możesz zmienić. Gdyby więc życzenia miały się spełniać, potrzeba jedynie żyznej gleby; po skale naszych idealnych serc spłynie wszystko i będzie, jak było.

O tej samej porze, rok temu, życzone nam, dziennikarzom, byśmy porzucili swe grzeszne skłonności do mijania się z prawdą, a zajęli zmienianiem świata. I co? Tomasz Sekielski o swej książce „Sejf”, gdzie zarysował stan polskiego dziennikarstwa: „Zajmujemy się duperelami, sporami politycznymi, które nie mają znaczenia dla życia Polaków. Dziennikarstwo coraz częściej ogranicza się do tego, że siada ileś osób, które głośno się kłóca, a dziennikarz mówi „dzień dobry” i „do widzenia”. To jeśli chodzi o telewizję. Jeśli chodzi o gazety, w przypadku tygodników liczy się przede wszystkim okładka – jeśli chcesz sprzedać, musisz dać jakiś syf z przodu, żeby ludzie pobiegli i kupili. A najbardziej mnie martwi, że w zaniku jest dziennikarstwo śledcze.” To co? Pozostaje życzyć dobrze i się zmieniać.

Zastępca

Nasze sprawy – SDP ○ Nasze sprawy – SDP ○ Nasze sprawy – SDP

Seniorzy Żyją Wśród Nas

Portret nagrodzony

„Pan Franciszek” Alicji Salczyńskiej został wyróżniony przez jury konkursu „Portret Seniora” (patrz str. 3). Konkurs ogłoszono wiosną 2012 roku w projekcie „Seniorzy Żyją Wśród Nas”. Zrealizowany został przez Olsztyński Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Europejskim Roku Aktywności Seniorów i Solidarności Międzypokoleniowej.

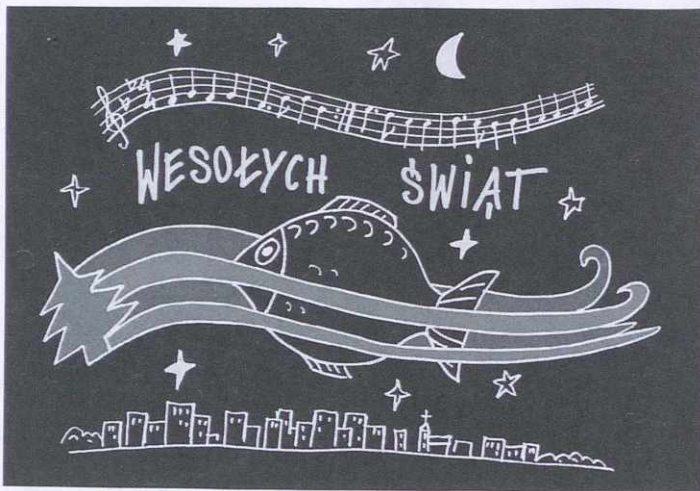
Celem konkursu było przyznanie się do zniwelowania barier dzielących pokolenia. Chodziło w nim głównie o zwró-

cenie uwagi na fakt obecności wśród nas seniorów – osób z cennym doświadczeniem życiowym. Zwłaszcza tych osób, które chętnie podzielią się swoją wiedzą i przemyśleniami z przedstawicielami młodszych generacji.

„Jest to dająca do myślenia i z literackim zacięciem napisana opowieść o wyjątkowo owocnym spotkaniu młodego i starszego człowieka w scenerii zwykłego życia.” (cytat z protokołu obrad Jury, szczegóły w następnym numerze „B.W.”)

LC

Nasza pocztówka – rys. Zbigniew Piszczako



Bez wierszówki – miesięcznik społeczno-kulturalny Oddziału SDP w Olsztynie, 10-162 Olsztyn, ul. Nowowiejskiego 5. Prezes Oddziału Krzysztof Berent, krzysztof.berent@owsiiz.edu.pl, (kom. 663 -737-097). My w Internecie: www.sdp.pl, www.zycieolsztyna.pl
Redaguje: Krzysztof Panasik z zespołem; tel. 89 533 52 58
bezwierszowki@o2.pl. DTP: Paweł Lik

Druk: Studio Poligrafii Komputerowej "SQL" s.c.. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów i skracania tekstów. Nakład 600 egz.

Konto oddziału SDP w Olsztynie: Bank Pekao S.A.
O/Olsztyn 40124055981111000050316164

Według doniesień Polskiej Agencji Prasowej sytuacja prasy europejskiej nie przedstawia się modelowo. Oto fragmenty opisu stanu europejskiej prasy drukowanej (za PAP):

Bez usprawiedliwienia

Jaka prasa, taka demokracja

„Kryzys wysokiej jakości mediów może oznaczać kryzys demokracji – piszą media, komentując załamanie rynku prasy i starożytnego modelu jej finansowania. Europie, gdzie rosną wpływy populistycznych polityków, potrzeba wartościowego dziennikarstwa – apelują gazety.

Demokracja opiera się nie tylko na wyborach, instytucjach i rynkach. Jakość informacji przekazywanej przez media może stanowić o jakości demokracji – napisał szwajcarski dziennik „Le Temps”, wtórując francuskiemu „Le Monde”.

Kryzys prasy, bankructwa lub redukcje w znanych tytułach oznaczają załamanie rynku wiarygodnej informacji, która ma istotny wpływ na działania polityków i wybory obywateli – ocenia „Le Temps”.

Europie zagraża „rosnąca fala populizmu i problemy społeczno-ekonomiczne, których źródłem może być zbyt daleko posunięta polityka cięć budżetowych. Czy prasa, która również pada ofiarą kryzysu i radykalnych oszczędności, może jeszcze wywierać wpływ na bieg zdarzeń w pograżonej w kryzysie Europie?” – pyta szwajcarska gazeta, w której również zapowiedziano cięcia kosztów i zwolnienia.

W Niemczech ogłoszono zamknięcie „Financial Times Deutschland”, wcześniej upadł „Frankfurter Rundschau”, ogłoszono zwolnienia w hiszpańskim „El Pais”, we Francji zamknięto dwa dzienniki: „France Soir” i „La Tribune”, dogorywa agencja fotograficzna SIPA; „Newsweek” likwiduje wydanie papierowe – wylicza „Le Monde”. O przetrwanie walczy niemiecka agencja DAPD, która zwolniła jedną trzecią pracowników.

W poszukiwaniu oszczędności media głównego nurtu zwalniają dziennikarzy zdając się na outsourcing. Ale „informacja jest szczególnego typu produktem – pisze „Le Monde” – Jeśli jest (...) kształ-

towana przez biznesowy model zakładający niskie koszty produkcji, nie może być wiarygodna”.

Poszukiwanie tańszej formuły dla prasy prowadzi do przekłamań, uproszczeń i błędów – napisał w lipcu „New York Times”, komentując serię dziennikarskich wpadek w USA. Ich powodem było cięcie kosztów produkcji lokalnych dzienników. Publikowały one teksty dostarczane przez firmę „Journatic”, generując lokalne informacje według modelu „call-center”, w którym teksty pisane są z dala od opisywanej rzeczywistości. Po drobnych retuszach, zamieszcza się je w gazetach, czasem z fałszywymi cytatami – napisał „NYT”.

„Journatic” to „dostawca treści dla mediów”, ma siedzibę w Chicago, a zatrudnieni przez niego autorzy piszą z własnego mieszkania treści dla gazet w San Francisco czy Teksasie. Czasem robią to z Filipin lub Afryki Północnej, co nie przeszkadza im relacjonować np. lokalnych zawodów sportowych albo posiedzenia rady gminy w amerykańskich metropoliach – ujawnił „Guardian”.

Raport Columbia University, zatytułowany „Dziennikarstwo postindustrialne”, głosi jednak: „Potrzebujemy pełnoetatowych dziennikarzy, raportujących na temat spraw, które ktoś, gdzieś chcialby zataić (...) Nie jest najbardziej chwalebny okresem dla dziennikarstwa ten, kiedy wiele pracy przejmują amatorzy lub wykonują maszyny”.

Według raportu, technologia doprowadziła do „eksplozji ilości dostępnej informacji”, ale mediom nie wolno ograniczać roli „dziennikarza jako kogoś, kto opowiada prawdziwe historie, wydobywa ich sens i je tłumaczy”.

Czy to wymaga komentarza? Wymóg przyzwoitości nadal pozostaje wymogiem.

kjp

„Pan Franciszek”

Szukałem sposobu jak ją zdobyć. Tyle razy przechodziłem ulicą Dąbrowszczaków, by się jej przyjrzeć. Była piękna, czarna, błyszcząca i taka wtedy nie moja.

Nieosiągalna, tajemnicza, pewnie cudownie brzmiąca. Nawet nie wchodziłem do środka, żeby jej się przyjrzeć. Było mi tak strasznie głupio, że nawet nie myślałem, żeby się do niej zbliżyć. Ja. Taki chudy, w wytartych dżinsach po Karolu i rozciapianych trampkach. Byłem mały. Teraz myślę, że dojrzały niż koledzy. Nikt z moich podwórkowych kumpi nie marzył o gitarze. Nikt nie słuchał Lombardu, Oddziału Zamkniętego czy ballad Metallki. Potrafiłem godzinami, w kółko słuchać Jej głosu po tamtej stronie i marzyć o zagranju tego kawałka. Potrzebowałem jeszcze tylko jej.

W domu bieda. E, jak u większości. Ojciec stróżował, nie wiem gdzie, mama pracowała w szpitalu jako salowa. Było nas czterech. Wszyscy piegowaci i nie uczesani, wiecznie głodni. Pajdy chleba z masłem schodziły jak świeże bułeczki. Wpadaliśmy ze szkoły i lecieliśmy na trzepak, do wieczora. Ja troszkę do nich nie pasowałem, ale jakoś musiałem znieść te ich zabawy. Dostałbym w ucho za nieposuszenie, w końcu byłem najmłodszy. Szczerze, wolałem sam spacerować po parku. Przyglądać się kaczkom pływającym po stawie i myśleć o tym, kim zostaną w przyszłości. No i marzyłem. Wciąż marzyłem jak ją zdobyć...

Siedząc na ławce, rozmyślając, rzucając kaczkom resztki kanapki niedojezionej w szkole i wpadłem na pomysł, jak zbliżyć się chociaż o krok do spełnienia marzeń o wielkiej karierze gitarzysty. Nieopodal mnie spacerowała starsza pani z psem. Wyglądała sympatycznie. Postanowiłem rozejrzeć się w okolicy i wypromować usługi związane z wyprowadzaniem psów starszych osób. Pomyślałem, że przyciągającym gratisem będzie robienie zakupów w pobliskim sklepie. Przecież wiedziałem, że biednym staruszkom, to ciężko tak wkoło biegać po schodach, targać te wszystkie torby, męczyć się zbytecznie. Podniecony pomysłem pół nocy nie mogłem spać. Wydaje mi się, że wcale wtedy nie spałem. Byłem bardzo ciekawy czy uda mi się zdobyć klientów. Następnego dnia, zaraz po lekcjach, pobiegłem na uliczkę, gdzie zawsze widziałem dużo starszych osób. Z perspektywy czasu okazało się, że nie wszyscy byli tak starzy, jak mi się wydawało. Postanowiłem pukać do drzwi i rozmawiać. Determinacja moja nie znała wtedy granic. Z wypiekami na policzkach, spocny, zdenerwowany, z bólem brzucha

pukałem od drzwi do drzwi. Niestety. Albo odmawiali, albo grzecznie dziękowali, albo zamykali mi drzwi przed nosem mówiąc, że nie mają pieniędzy. Podłamany, wyraźnie smutny, ale nie bez nadziei, próbowałem jeszcze raz. Otworzył mi Pan. Starszy. Wysoki, jak dla mnie na tamte czasy, poważnie wysoki. Miał srebrne włosy niebieski sweter. Nic więcej nie pamiętam, prócz tego, że zgodził się i zaprosił mnie na herbatę następnego dnia. Matko, jak ja się ucieszyłem! Byłem po prostu najszczęśliwszym Michałem na świecie! Na dzwonku starszego Pana nakleiłem czerwoną biedronkę, żeby nie zapomnieć, w których drzwiach pojawił się płomyczek nadziei. Bomba! Może się uda...

Miałem 10 lat. Byłem samotny. Wtedy czułem to tak, jakbym był mało wart. Jakby nikt mnie nie lubił, choć to nie była do końca prawda, o czym przekonuję się do dziś. Potrzebowałem bardzo kogoś, przy kim mógłbym poczuć się bezpiecznie, spokojnie, któremu mógłbym powiedzieć wszystko. Pan Franciszek pozwolił mi zrobić zakupy. Dwa razy. Chyba tylko dla tego, że było mu mnie szkoda. Nie myślałem o tym wtedy. Byłem podekscytowany szansą na zdobycie instrumentu z moich snów. Tachając torbę z ziemniakami w piątkowe popołudnie, rozmyślałem o wrazeniu jakie wywrę na kolegach z podwórka, grając im Nothing Else Matters. Ale tak naprawdę zależało mi na zachwycie Hani. O, ile ja bym wtedy dał za zainteresowanie długorzęcej blondynki, piorącej wszystkich chłopaków w grze w marynarza. Chciałem być dla niej wyjątkowy. Bardziej jeden.

Dotaczałem. Sapiąc zadzwoniłem dzwonkiem. Pan Franciszek uśmiechnął się do mnie. Zaprosił na herbatę. Rozmawialiśmy do nocy. Herbatą była dziwna, smakowała jak kwiaty z pola, gorzka, dosypywałem dużo cukru. Częstowaliśmy się herbatnikami, uczyłem się historii. Prawdziwej, w obrazach i klatkach, zachwycającej i smutnej.

Przyszła zima, ja umiałem posługiwać się śrubokrętem, wymieniać żarówkę, ślać łóżko jak w wojsku, obierać ziemniaki, przyszyć guzik, żartować z siebie i otaczającego mnie świata. Wiedziałem już kim jest Konrad Wallenrod i rozumiałem, że nie zawsze muszę się godzić na wszystko, kiedy nie mam na to ochoty. Pan Franciszek śmiał się coraz więcej. Puszczal mi muzykę, którą kiedyś lubił, pozwalał mi się

odwdzięczać tym samym. Starał się, abym był zawsze dobrze przygotowany do szkoły i nawet dał kiedyś kwiaty dla mojej mamy. Był kiedyś nauczycielem w szkole. Opowiadał, że kochał ten zawód z całego serca. Miał też żonę, ale zmarła. Wiem, że kiedy byłem w szkole, on chodził na jej grób, niedaleko domu. Nigdy nie mieli dzieci. Mówiąc o tym smutniał. Był sam. Inaczej niż ja, ale razem czuliśmy się wyjątkowo dla siebie obcymi.

Boże Narodzenie tego roku było najgorsze na świecie. Jakaś pomyłka wszechświata. Po kolacji w domu, z rodzicami i braćmi szalejącymi z prezentami, oczywiście postanowiliśmy pójść do Pana Franciszka. Zapomniałem czapki, okryłem się zielonym szalem, który dostałem pod choinkę i wyszedłem z domu. Pukałem. Cisza. Nic nie myślałem. Sąsiadka, Pani Mira, której psia wyprowadzałem w czwartki, powiedziała, że Pana Franciszka zabrała karetka, że nic więcej nie wie. Usiadłem na schodach, ciężko mi było oddychać. Spojrzałem na biedronkę na dzwonku. Pamiętam, że się bałem. Czułem w ustach smak barszczu i maku. Pani Mira przekazała mi prezent. Pan Franciszek zdążył przed odjazdem przekazać go dla mnie. Była piękna, błyszcząca, czarna. Przysięgłem sobie, że nauczę się wszystkich ulubionych kawałków Pana Franciszka. Jak wyjdzie ze szpitala, będę mu grać i grać. Pieniądze, które zebrałem przez te miesiące schowałem głęboko na prezent dla niego. Wspominał o wędkach dla nas.

Czekałem. Tygodnie mijały. Tata stracił pracę. Musieliśmy się przeprowadzić na wieś, do babci. Kochanej mojej babci Zosi. Niedaleko Olsztyna, do Kwiecewa. Dni mijały na dojeżdżaniu do szkoły, nauce gry i wspomnieniach. Strasznie chciałem spotkać Pana Franciszka, ale gdy pojechałem do niego, sąsiadka powiedziała, że zmienił mieszkanie. Było to dla mnie dziwne, smutne i nieprawdopodobne. Przez myśl mi nie przeszło najgorsze. Co to, to nie. Wracając PKS-em wyobrażałem sobie babcię Zofię i Pana Franciszka razem pijących gorzką, polną herbatę i śmiejących się do mnie. Ganiałem po łąkach, układałem rzeźby z kamieni, byłem bramkarzem chłopaków i pomagałem lepić babci pierogi z jagodami. Tęskniłem za filizankami Pana Franciszka, jego głosem i zmarszczkami pod oczami.



Dobry uśmiech pana Franciszka

Ósma klasa minęła równie szybko jak poprzednie. Postanowiłem wrócić do Olsztyna, pójść do technikum. Spakowałem gitarę, skórzany pas, kilka swetrów i zeszyty. Zamieszkałem w internacie nieopodal szkoły. Pierwsze śniadanie, pierwszy dzwonek, pierwsze dźwięki strun na długim korytarzu. Same chłopaki w tej szkole były. Gdzie moja Hania?

W wtorkowe popołudnie, wracając po lekcjach na stołówkę internatu. Wiedziała, że połowa internatu należała do domu starców. Mieszkały w nim samotne starsze osoby. Wkurzało mnie, kiedy koledzy mówili źle na ich temat. Aż mi się gorąco ze złości robiło. Słońce świeciło, było przyjemnie. Pod jablońią siedziały starsze panie. Miały stolik, na którym stały filiżanki, kubki, ciasto. Niektóre robiły na drutach, inne czytały, dwie panie na wózkach inwalidzkich rozmawiały, śmiejąc się od czasu do czasu. Zrobiło mi się dziwnie słabo. Wydawało mi się, że bliżej jablońi stał mój Pan Franciszek. Bałem się jak diabli i trochę wstydiłem, ale podszedłem. Radości naszej nie było granic.

Od tamtej pory dwa razy w tygodniu, jako wolontariusz, grałem i śpiewałem z mieszkańcami domu wszystkie utwory, które uwielbiał Pan Franciszek. Wciągnąłem w działalność kolegę, który z zaciekawieniem słuchał i spisywał opowieści starszych pań. Szkoła pomogła wydać zbiór opowiadań. Organizowaliśmy razem wycieczki wspólne dla uczniów i naszych sąsiadów, spotkania wigilijne, warsztaty teatralne i malarskie. Technikum minęło na nauce i odzyskanej przyjaźni. Wielu z moich kolegów nauczyło się, jak ważną rolę w ich życiu mają dziadkowie i babcie. Jak warto korzystać z ich wiedzy i doświadczenia. Jak wiele radości i aktywności może wnieść w ich życie nasza obecność. Skończyłem studia muzyczne. Jestem muzykoterapeutą w Domu Pomocy Społecznej. Pan Franciszek żyje i miewa się dobrze. Święta spędzamy razem u babci Zośki.

(Geneza tekstu – patrz str. 2)

Urządźmy swój lepszy świat Z torbami w przyszłość!

Mój przyjaciel, z którego nie będę brał przykładu, bo jest na to stanowczo za późno, stawiał się na dorocznym spotkaniu obładowany torbami. Jak zwykle. Ale tym razem patrzyłem na niego z podziwem i nostalgiją. Już mu się skronie przyprószyły, pas poszerzył, stąpa ostrożnie dbały o swe bezpieczeństwo. A i torbę mu z wiekiem przybyło.

Jego torby, to torby-hobby. W torbach tkwią aparaty fotograficzne różnego kalibru (sprzęt profesjonalny i miniatury cyfrowe), rolki filmów, baterie, obiektywy wymienne etc. W innych – albumy ze zdjęciami (najnowsze zdobycze obiektywu: pejzaże, portrety, architektura). A jeszcze najnowsze numery czasopisma, z którym współpracuje od pewnego czasu – kolejna torba – wraz z przewodnikami i mapami terytoriów wymagających poznania.

Jakie z tego wynika przesłanie? Jeśli na czas działania na wolniejszych obrotach nie przygotujemy sobie słabości, której oddanie się zaprzętało nasze umysły, ale nigdy nie było czasu na rzucenie się głową w dół ku innym światom, to teraz okazja jest wyśmienita! Pakujmy torby i w drogę!

Gdybym mógł studiować nauki, których w Olsztynie zgłębiać nie mam szans, uzyskałbym zgodę zwierzchności uczelnianej na moją obecność – wolnego słuchacza – na zajęciach. Ale czasu nie marnuję. Zgłębiając jednak wybraną wiedzę niezbyt systematycznie, moja torba nie jest zbyt ciężka, ale zawsze ja mam pod ręką. Druga – to szkicownik-notes, bogata stawka piór, ołówków i długopisów. Tak wiele jest w ciągu dnia spostrzeżeń, myśli zasłyszanych, obserwacji wartych utrwalenia, że nie warto marnować. Zawsze do czegoś mogą się przydać. To jak w książce „Okno dnia” Jonathana Carrolla, w której autor zawarł blogowe notatki i uczynił z nich książkę-dziennik.

A kiedy zejda śniegi i zima ustąpi – czekać będą ogrody i łąki, najpiękniejsze bagaże, nawet dla hobbyisty-obszwaratora. Bez obciążenia – każdy dzień ciężarem.

kjp

Dobry nauczyciel

– wspomnienia Adolfa Gałuszko, pedagoga, astronoma i myśliwego

Urodził się w roku 1932-im na południu Polski we wsi Umieszcz w gminie Tarnowiec. W okolicy nie było żadnego przemysłu, tak więc mieszkańcom wioski pozostała tylko praca na roli.

Ojciec pana Adolfa, kombatant walk o niepodległość Polski, był także żołnierzem oddziałów, które odparły Moskali podczas słynnego Cudu Nad Wisłą. Odznaczony za postawę na polu bitwy był w społeczności Umieszczycza osobą ogólnie poważaną. Dzięki małemu sklepikowi wioskowemu rodzinie Gałuszków powodziło się wtedy względnie dobrze. – Chociaż większość ludzi cierpiała wielką biedę – wspomina pan Adolf. – Na przedmówku naprawdę nie było co jeść.

W czasie wojny oddziały okupacyjne najeżdżały wsie rabując co się da i aresztując chłopów za różne przewinienia. – Pamiętam, że partyzanci często mieli z nimi potyczki. A takich małych chłopaków jak ja wystawiali na czujki.

W niedzielę 13 września 1944 roku kilka niemieckich czołgów oraz wozy pancerne przyjechały do Umieszczycza w odwecie za akcję partyzancką. Podpalali domy i kogo się dało rozstrzelali na miejscu. Zginęło wtedy bardzo dużo ludzi: i mieszkańców wsi, wśród nich ojciec małego Adolfa, i żołnierzy radzieckich, którzy byli już we wsi.

Gałuszkowie powrócili do ocalałej z pożaru piwnicy swojego domu dopiero w maju 1945 roku. Sami mieszkańcy zasypywali wtedy okopy i rozminowywali pola. Po wybuchu granatu trzy-nastoletni Adolf leżał trzy miesią-



Adolf Gałuszko w myśliwskiej gotowości

ce w szpitalu w Gorlicach, przechodząc kolejne operacje właściwie na żywca. I tak miał szczęście. Inni koledzy ginęli na minach a jeden z nich musiał potem sam sobie zrobić drewnianą protezę w miejsce urwanej przez minę nogi.

Mały Adolf już wtedy celnie strzelał z karabinu. Później reprezentował województwo rzeszowskie na zawodach sportowych.

Skończył Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Katowicach a potem studiował jeszcze fizykę na Wydziale Fizyki, Matematyki i Chemii na tamtejszej Politechnice.

Po studiach dostał nakaz pracy w województwie olsztyńskim. Zaczął jako nauczyciel w Szczytnie, gdzie zaraził się też pasją myśliwską. I tak poluje już prawie sześćdziesiąt lat, chociaż ostatnio bardziej chodzi do lasu po prostu obcować z przyrodą. – Lubię patrzeć, jak na własną wyjście locha z młodymi, jak one walczą

o ziemniaczek czy nasiono jakiegoś.

Ukończył też astronomię na UMK w Toruniu, gdzie był m.in. słuchaczem słynnego prof. Wolszczana, odkrywcy pierwszych planet poza Układem Słonecznym. Przez dwa lata prowadził badania naukowe w Obserwatorium Astronomicznym w Piwnicach a po ich zakończeniu wrócił do Olsztyna i uczył fizyki i astronomii w LO3 w Olsztynie. Kilku jego uczniów zostało laureatami międzynarodowej Olimpiady Naukowej w Berlinie.

Ważnym etapem w życiu pana Adolfa była szkoła w Lamkowie. Przyjechał tu w roku 1985 po zakończeniu piętnastoletniego dyktowania w Trzecim Liceum przy ul. Gagarina w Olsztynie. Mógł robić

doktorat z astronomii, ale w tym czasie jego żona kończyła studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim i trzeba było poświęcić czas małej córeczce.

– Mówię o sobie Dobry nauczyciel bo nie miałem nigdy żadnych problemów z młodzieżą. Zorganizowałem raz turniej siatkówki: nauczyciele kontra uczniowie, który wygraliśmy. Ale w piłce nożnej dokopali nam chyba 10:0. Mój uczeń Liburski był szachowym mistrzem Olsztyna. Zaraziłem go tą pasją. W tamtych czasach młodzież była nie wiem czy lepsza. Ale był wzajemny szacunek pomiędzy nauczycielami a uczniami i większe zaangażowanie nauczycieli w proces edukacji. Do dziś przed LO3 stoi mój zegar słoneczny.

Łukasz Czarnecki-Pacyński



Konkurs „Portret Seniora” organizowany jest w obrębie projektu „Seniorzy Żyją Wśród Nas”, realizowanego przy wsparciu finansowym Samorządu Województwa Warmińsko – Mazurskiego.

WIGILIJNE ŚLEDZIE

Święt Bożego Narodzenia zazwyczaj najbardziej wyczekują dzieci, pomimo tego, że nie każde dzieciństwo jest w pełni szczęśliwe. Moje rodzynki, niestety, podczas hitlerowskiej okupacji, więc było pełne strachu i niedostatku. Rolnicy byli wówczas obarczeni przez okupanta dotkliwymi kontyngentami w postaci zboża, ziemniaków i zwierząt rzeźnych.

Za niewywiązanie się z tego z tego obowiązku groziła nawet kara śmierci. Pewnego razu byłem niemal naoczny świadkiem rozstrzelania gospodarza. Widziałem bowiem, gdy go hitlerowscy żandarmi prowadzili za stodołę, a po chwili padły strzały... A niedługo potem, dla zabawy, z karabinu maszynowego strzelali oni do wron, siedzących na pobliskich topolach. Był też w owych czasach obowiązek wyżywienia partyzantów różnej maści (z wyjątkiem AK, której w najbliższej okolicy u nas nie było), którzy także lubili dobrze zjeść. Przychodzili zwykle w środku nocy, a następnie zostawali częścią na całą rodzinę gospodarza. Powinnością dzieci w moim wieku było np. wypatrywanie, czy aby nie jadą Niemcy i w porę ostrzec partyzantów.

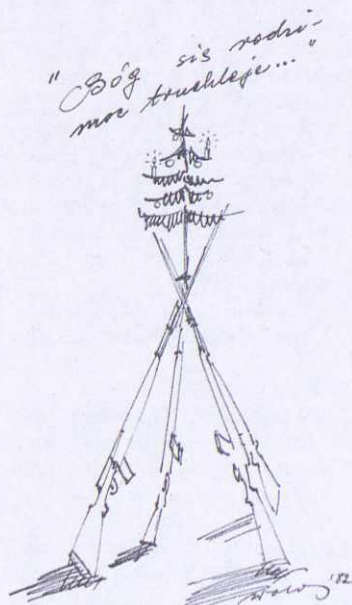
Pomimo tych dolegliwości, cieszyłem się z nadchodzących świąt, mając w perspektywie nadzieję na lepsze jutro przez kilka dni. Utrwalałem w pamięci, za pomocą książeczki, zwanej przez nas „kantyczką”, teksty kołęd i pastorałek, przygotowując się do świątecznego kołędowania z piękną ośmiornicą gwiazdą, wykonaną przez moją Ojca. Potrawy wigilijne były skromne, lecz miały swój specyficzny charakter, który pozostał w mojej pamięci do dziś. Ich ilość była jednak daleka od liczby 12, zatem łatwo je tu wymienić. Był to więc wywar z kilku suszonych kapeluszy borowików, z dodatkiem kaszy jaglanej (zwany barszczem grzybowym). Grzyby te, wyjęte z barszczu, a następnie obtoczone w mące i usmażone na oleju stanowiły kolejne danie. Następnie kisiel gryczany, sporządzony na zakwasie, okraszony surowym olejem lnianym lub rzepakowym, był spożywany na zimno. Szczególnym rarytasem była kutia, tj. pęczak z dodatkiem rozrartego w makutrze maku oraz miodu, mieliśmy bowiem zawsze kil-

ka ulti z pszczołami. Spożywaliśmy także postny kapuśniak, niekiedy wzbogacony suszonymi pikorzami, złowionymi z lodu w miejscowej rzeczolce Zielawie (za pomocą specjalnie przerobio-

ka, który znajdował się w odległości około 300 metrów. Gdy idący dotarł szczęśliwie pod sklep, został rozpoznany przez oczekujących jako mieszkaniec naszej wioski. Na pytanie rozbawionego policjanta, czy nie bał się, że go zastrzelą, ów chłop odparł: nie, bo zasłaniałem się wełną, a kule przez wełnę nie przelatują, bo się w nią wkręcają. Chłop rcał z gremplarni i niósł spory tłumok z kądzielami wełny...

Do wigilijnego stołu zasiadaliśmy nie kierując się pojawieniem się tzw. pierwszej gwiazdy, lecz wówczas, gdy gospodarz, po skończonym obrzędzie, wracał z obory do mieszkania. Jeszcze za dnia, obok stołu, przy którym miała być spożywana wigilijna wieczerza, na długiej sosnowej ławie była położona spora wiązka pachnącego siana (przewiązane go na krzyż powróściem), zaś na niej opłatki, którymi dzieliliśmy się podczas wieczerzy.

Aleksander Wołos



nego kosza na kartofle, wstawianego na noc do okrągłego przerebla). No, i na koniec, pszenne placuszki, smażone na oleju, a zwane patelniakami, popijane kompotem z suszonych owoców. O karpniu nie mogliśmy nawet marzyć. Co najwyżej, udawało się czasem go kupić w naszym spółdzielczym sklepie, odległym od mojego rodzinnego domu w około kilometr.

I tu przypomina mi się pewien tragicomiczny incydent. Było to w roku 1943, na dzień lub dwa przed Wigilią, gdy Mama wysłała mnie do sklepu, bowiem spodziewana była przedświąteczna dostawa towarów, w tym i śledzi. W niewielkim gronie osób oczekujących przed sklepem na przyjazd furmanki z towarami znajdował się także „granatowy” policjant (Polak na służbie u okupanta). W pewnym momencie dało się zauważyć ludzką postać, idącą na przelaz od sąsiedniej wsi przez zamrznięte rozlewiska Zielawy. W pewnym momencie policjant zdjął z ramienia karabin, a następnie oddał kilka strzałów w kierunku zbliżającego się człowie-

KOLEĘDY

Józef Jacek Rojek

1.
*Przy skraju drogi, przy skraju
Nad stromą strzechą, nad
strzechą
Wielka skroń nieba, skroń nieba –
Uderza światłem, uderza;*

*Tu się zrodziło, zrodziło
Najświętsze słowo, najświętsze –
Niech zatem runą, niech runą
W przepaść złe moce, złe moce;*

*A imię Jego, a imię
Sławią na co dzień, na co dzień
Wielcy i mali, i mali
Po dzień dzisiejszy, dzisiejszy*

*Gdy znów kołędą, kołędą
Przed Nim, zanucim, zanucim.
(1995)*



2.
*Nie mieli domu, nie mieli dobytku,
Nie mieli sprzętów, nie mieli
kołyski,
Tylko ten jeden osiołek pozostał –
Wierny towarzysz biednych z
najbiedniejszych;*

*Nie mieli bliźnich, nie mieli
przyjaciół,
Ani gospody, ani słów pociechy,
Tylko ten jeden osiołek ogrzewał
Pana naszego – dziś
narodzonego;*

*W żłobie Pan leży na sianie i
słomie
A gwiazda błyszczy nad nędznym
Betlejem,
Gdzie trzej magowie biegają
pokłonić;
Hej – hej kołędą, kołędą...*

*Pokłon złożyli najpierw
pastuchowie,
Bo go uznali za króla swojego –
Aby królował nam w życiu po
życiu;
Hej – hej kołędą, kołędą!
(1996)*

Głęboki ślad Steda

Tadeusz Prusiński

Niespełna pół roku temu minęła 75. rocznica urodzin Edwarda Stachury, poety i pisarza, wędrowca, pieśniarza i tłumacza... Minęła też 33. rocznica jego śmierci. Człowieka, który sam siebie zanegował. Który zostawił głęboki ślad w literaturze i umysłach wielu czytelników.

Opowiem o Stachurze z największą ostrożnością, na jaką mnie stać. W moim życiu odegrał on rolę ogromną. Oczywiście nie tylko w moim. Wiem, ale mogę mówić wyłącznie o osobistych doświadczeniach, choć podejrzewam, że podobne stały się udziałem bardzo wielu.

Właściwie mogę powiedzieć, że to są moje słowa, chociaż napisał je na swoim blogu Krzysztof Rutkowski. Nie, nie ten – nie celebrycki detektyw, ale inny Rutkowski – pisarz, eseista, historyk literatury i kultury, edytor, tłumacz, dziennikarz, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, znawca m.in. twórczości Stachury i wydawca pięcioletniej edycji (tzw. dzinsowej) jego dzieł.

Na swoim blogu Rutkowski pisze dalej:

Widziałem go tylko trzykrotnie, ale wiadomo, że nie ilość spotkań się liczy, lecz ich intensywność. Od Stachury zaczęło się moje szukanie „czegoś” i „kogoś”, dzięki niemu udało mi się, mimo potknięć i wpadek, zachować wierność sobie.

Ja widziałem Stachurę dwa razy. Pierwszym razem – w autobusie miejskim w Olsztynie. Stałem za nim i intensywnie myślałem, jak do niego zagadać, o co zapytać. Znałem już jego „Siekierządę”, „Wszystko jest poezją”, „Się”, ale miałem obiekcje, czy wypada go, ot, tak, zwyczajnie, zagadnąć. Byłoby przecież o czym porozmawiać...

Wiedziałem, że jedzie na tę samą imprezę, co ja – na spotkanie z Edwardem Stachurą. Potem szedłem za nim od przystanku przy sądzie aż na Stare Miasto i ciągle nie miałem śmiałości, żeby się odezwać do niego. Drugim razem widziałem go – i słuchałem – dzień później. Był 1978 rok, początek czerwca.

Spotkanie ze Stachurą rozpisa-
ne było na cztery dni. Odbywało się w Baszcie przy Okopowej, w sali pod słynnym „Jungstem” – restauracją prowadzoną przez Andrzeja Jungsta. Zorganizowała je Interdyscyplinarna Placówka Twórczo-Badawcza „Pracownia”, którą m.in. tworzyli: Ryszard Michalski, Krzysztof Gedroyc, Jenny i Tadeusz Burniewiczowie, Erdmute i Waclaw Sobaszko-
wie, Wiesław Wachowski... Malarz i grafik Tadeusz Burniewicz, znany w środowisku jako „Bury”, w tamtych latach projektował graficznie książki Stachury, o którym mówił (jak i inni przyjaciele) – Sted. Stachura, gdy był w Olsztynie, u niego mieszkał.



Edward Stachura
1937-1979

W „Pracowni” Stachura mówił zdaniem ze swoich książek. Jakby czytał kolejną, jeszcze niewydaną. Chwilę się zastanawiał, zaciągał się papierosem i lekko się zacinając ciągnął monolog – niemonolog. Wrażenie było niesamowite. Na widowni – cisza, jak makiem zasiał. A on, z półprzymkniętymi oczami, palący papierosa za papierosem, mówił, mówił... Rok później to, co opowiadał, ukazało się jako „Fabula rasa”. Wyszło miesiąc po jego samobójczej śmierci.

Na trzeci wieczór ze Stachurą nie poszedłem. Zmęczyły mnie dwa wcześniejsze. Objawiły, że oto on, Stachura, który stał się człowiekiem, doszedł do ściany. Do progu właściwie. Wyjrzał za próg i zobaczył kosmos. I kosmos go poraził. I został człowiekiem-nikt.

Tak to sobie wtedy, student, tłumaczyłem. Wtedy...

Pomyślałem też wówczas, że chyba coś sobie zrobi. Zrobił rok później.

Pękła bania

Po jego śmierci, w latach 80. minionego wieku pękła bania ze Stachurą. Rozmnożyły się różne „stachuriady” i „stedowiska”. Nakłady jego książek osiągały zawrotne nakłady i zniknęły z półek księgarskich. Jego „Piosenki” wydano pierwszy raz w 1973 roku w nakładzie tysią-

ca egzemplarzy. Drugi raz ukazały się w 1980 roku i wtedy wydrukowano ich już siedem tysięcy egzemplarzy książki. Trzecie, sześć lat później – wydano w nakładzie stu tysięcy (!). I za każdym razem w księgarniach były tylko kilka miesięcy. Podobnie z opowiadaniem „Się” (1977r.). Przez jedenaście lat wydawano je cztery razy, czwarte wydanie w nakładzie 50 tys. Piąte pojawiło się w 1998 roku, ale już nakładu nie podano.

„Piosenki”, „Się”, „Fabula rasa”, „Oto” wydawało wtedy olsztyńskie „Pojezierze”. Dzisiaj w takich nakładach książki już się nie ukazują, a jeżeli, to sporadycznie – i spektakularnie.

Coś ty Ilawie zrobił, Stedzie...

Stachura wędrował po Polsce i świecie. Na drodze jego włóczęgi znajdował się Olsztyn, znajdowała się Ilawa i jej okolice. W Olsztynie przygarniał go „Bury”, w Ilawie – Wiesław Niesiołowski, przez lata dyrektor biblioteki miejskiej. Biblioteki, która później otrzymała imię Stachury.

Do Ilawy Stachura zajął pierwszy raz w kwietniu 1976 roku. Przywiodła go tam pamięć toruńskich spotkań z Niesiołowskim w akademiku przy Mickiewicza w latach 60. Pamięć nocy spędzanych na grze w pokera, na dyskusjach o poezji... A kar-

tami tak Stachura się pasjonował, że mógł grać trzy dni bez przerwy.

Potem w Ilawie Stachura był często. Przyjeżdżał po kilka razy każdego roku, kiedy tylko było mu po drodze w jego nieustannym wędrowaniu. Czasem Niesiołowskiego uprzedzał listownie o przyjeździe, częściej jednak zjawiał się bez zbędnych, jak to mówił, ceregieli i zostawał na dwa, trzy dni, najwyżej cztery i nigdy dłużej. Muszę zniknąć, bo mi zaczyna zaraz ubliżać ściany tego domu – mówił zbierając się do drogi.

Kiedy więc od początku lat 80. twórczość Stachury zaczęła święcić triumfy, dyrektor Niesiołowski wymyślił, że tak znany i poczytny autor mógłby zostać patronem kierowanej przez niego biblioteki. Przecież Stachura był tu, oddychał „życiowym powietrzem wokół ilawskich lasów”, pływał w Jezioraku, nieraz pisywał nieco w mieszkaniu Niesiołowskiego, poprawiał swoje maszynopisy, albo wędrował w skarpetkach wśród bibliotecznych regałów – i niosło go dalej...

Dłużej, bo tydzień, poeta był w Ilawie wczesną jesienią 1978 roku. Mieszkał u Wiesława Niesiołowskiego. Przywiózł ze sobą maszynopis traktatu poetyckiego „Oto”, wyglądał „Fabula rasa”. Wtedy też obaj doszli do wniosku, że „najciężej jest tym, co pozostają”...

Niesiołowski pochwalił się pomysłem „na patrona” w gazecie. I wtedy do naczelnika miasta przyszedł list zatroskanego mieszkańca Ilawy, którego zbulwersowała ta wiadomość. Mieszkaniec nie miał nic przeciwko temu człowiekowi, jego poezje, słyszane raz w telewizji i radiu nawet mu się spodobały. Ale nie był wcale zachwycony życiem i pracą Stachury. Jak wiem człowiek ten, zapewne uzdolniony literacko, nie kałał się pracą zarobkową dla Ojczyzny, rodziny i siebie – pisał zafrasowany mieszkaniec Ilawy. – Nie przekroczyl granicy przeciętności, a znany jest małej grupie ludzi i to w większości młodzieży. (...) Jest w historii Warmii i Mazur wiele bardzo zasłużonych dla tej ziemi Polaków, np. Michał Kajka, poeta, obrońca języka polskiego, działacz społeczny S. Pieniężny, twórca „Gazety Olsztyńskiej”, działacz i patriota, czy F. Nowowiejski, kompozytor, muzyk i wielu innych. Którzy swoim życiem, pracą i działalnością nieśli pomoc, podnosili na duchu uciemnioną ludność tych ziem” – donosił mieszkaniec Ilawy.

Do głowy mieszkańcowi Hławy nie przyszło, że to nie wina Stachury i jemu podobnych wrażliwców, iż tacy są na świecie. Czy to nasza wina, że jakoś tacy wyrodziliśmy się? Ze trochę inni jesteśmy niż większość ludzi? – pytał w jednej z książek Stachura. – Nie to, że lepsi, lecz inni, nieprzystosowani, z większym garbem na plecach, z większym kamieniem w sercu, z ostrzejszą szpilką w głowie.

Stachura został patronem ilawskiej biblioteki dopiero kilka lat później. Dziś – nie wiadomo czemu – już nie jest.

Jaki był Edward Stachura

Dawny prelegent Towarzystwa Wiedzy Powszechnej z Nieszawy Jerzy Zyglarski zapamiętał go jako spokojnego, skromnego, zamkniętego w sobie, trochę się jękającego człowieka. Dopiero, kiedy troszeczkę wypił, to się rozkręcał. Na pewno już wtedy, na przełomie lat 60. i 70. XX w. był idolem i autorytetem dla młodzieży ówczesnego pokolenia, choć, jak pamiętają koledzy, autorytetów nie akceptował. Sam dla siebie był autorytetem. Był sobą.

Piękny był chłopak, włosy kręcone – wspominała w jednej z gazet pragnąca zachować anonimowość pani z Ciechocinka, gdzie Stachura przez trzy lata chodził do liceum. – Ale coś, artysta! Pomimo szczerzej sympatii, nie umiałam zaakceptować jego teatralnych zachowań. Czy pani uwierzy, że potrafił w pełnym ludzi parku padać na ziemię w udanym ataku epileptycznym i brać od litościwych przechodniów pieniądze?!

Marta Kucharska, niedoszła żona Stachury:

(...) był człowiekiem „do rany przyłóż”, ale strasznie dumnym i bezkompromisowym, co jest zjawiskiem przyrodniczym. Gdy ktoś ma lat trzydzieści parę, zazwyczaj już nie zasuwa na pełnym gazie, nie rozdziela świata na czerni i biel, a on był cały czas bezkompromisowy. Jeżeli ktoś zachował się jednoznacznie jak świnia, to on nie starał się go zrozumieć, dla niego ten człowiek był skreślony. (...) „Był bardzo czuły, cały czas uważny na każdego człowieka, skłonny wyjść z ciebie to, co najlepsze, skłonny uwierzyć w ciebie takiego, jakim chciałbyś być. Chętnie obdarzał swoją przyjaźnią inne osoby, ale był też ogromnie krytycznie nastawiony do rzeczywistości. Ktoś, kto mu podpadł, miał małe szanse odzyskania jego sympatii.

Tak podpadł mu słynny Bruno – poeta Ryszard Miłczewski. „Bruno”, ten z wiersza „Nie rozdziobią nas kruki ni wrony”, uwieczniony w refrenie „Ruszał się Bruno, idziemy na piwo”. Podpadł za to, że w przypływie pijackiej fantazji zdrwił sobie w obecności Stachury z małomiasteczkowego kłoszarda.

Się szło

Kto czytał Stachurę, wie, że umiał opowiadać... A jeszcze pysz-

niej umiał pisać. Do perfekcji opowiadał pisanie-opowiadanie o zwykłych rzeczach, codziennych czynnościach i zdarzeniach w niecodzienny sposób. Urzekał – do dziś urzeka – magnetyzmem języka, choćby w zbiorze opowiadań „Się”:

Się szło jedną z licznych dziesiątlicznych setlicznych tysiączlicznych entlicznych pęclicznych dróg Planety, po północnej półkuli, na wschód od południka Greenwich (...), przez kraj polski, środkiem polnej drogi, tym wybrzuszeniem, co pomiędzy dwiema głębokimi koleinami – wyłożonymi kołami chłopskich furmanek, wojskowych furgonów, drabiniastych długowozów, niedzielnych i świątecznych i powszednich dwukółek bryczek wolantów powozów i innych dyliwozów, co się tą drogą turlały w jedną i z powrotem od pamiętnych i niepamiętnych czasów. (...)

Się zrozmiało. Się rozumie. Się za daleko szukało tej kryształowej kuli, co chowa odpowiedzi na dwa, trzy pytania. Na jedno pytanie. Na wszystkie pytania. Się jej nie tam, gdzie była, szukało. Się jej nie tam, gdzie jest, szukało. Się jej w bezgranicznych przestworzach szukało. Daleko. Za daleko. O wiele za daleko. O całą odległość. O cały dystans. O cały kosmos. Się błędziło. Gdzie indziej ona była. Nie tam. Dużo bliżej. Jeszcze bliżej. Najbliżej. Tu ona była. Nie trzeba było jej szukać. Tu ona jest. Każda własna głowa nią jest.

Stworzony przez Stachurę nie tylko w „Się” świat wciąga z ogromną siłą, pobudza wyobraźnię, przywołuje refleksje... Za każdym razem, gdy czytam tę książkę, znajduję w niej coś innego, jakąś świeżość, nowe znaczenia tych samych słów, wersów. Najnowsze jej wydanie ukazało się w 2010 roku.

Albo – „Siekierzada”, książka o młodym zbuntowanym, wolnym ptaku, który zaszył się w lesie przy wyrębie lasu, wśród prostych i autentycznych ludzi. Uciekł od rzeczywistości i od miłości. To była opowieść z życiem w roli głównej! Stachura pisał w niej: Rąbałem zawzięcie, ciachałem, dziabałem w lewo i w prawo, z góry, z dołu i z boku machałem, wywijąłem siekierą i nie myślałem o niczym. Dzięki ci, Lete, Letycjo, za ten tyk zapomnienia. I nie zapominaj o mnie w dalszym toku, w dalszym biegu.

A przecież na początku swojego doświadczenia drwała, nim został mistrzem wyrębu lasu, prostował zęby w pile, bo jeden

był wykrzywiony w jedną, drugi w drugą stronę. Prostował, bo nie wiedział, że tak ma być. Prostował, bo był pedantem.

Krytyk literacki Tadeusz Nyczek: „Siekierzada” (...) jest – musi być – hymnem miłości. Jest nim nie tylko wobec biologicznej radości istnienia i twórczej radości pisanja; to także śpiew o miłości do kobiety.

Wnikliwy znawca twórczości Stachury, prof. Krzysztof Rutkowski:

Teksty Stachury i jego czyny czytam jako błaganie o litość. O zmiłowanie nad nim samym. Jako modlitwę o wielką miłość. Spełnioną, co jeszcze wcale nie znaczy że szczęśliwą, ale na pewno o miłość wzajemną: silną, cielesną, erotyczną. Im obraz miłości w jego tekstach bardziej uduchowiony i odcielesniony, tym jej brak silniejszy, prowadzący do samounicestwienia, do utraty nadziei i chęci na życie. Do całkowitej bezdomności, bezradności wobec świata i bliźnich.

Zdania jak gwoździe z krzyża

Język Stachury to najbardziej poetycka poezja.

„O Zjawo Realna”!, „O Wido-ku Nad Wido”!, „Ojciec pastewny”, „Bezimienny”, „Pozasłowny”, „Nieznany”... To są wszystko nazwy Pana Boga wymyślone przez Stachurę.

Jak zauważa Jan Kondrak, pieśniarz i wyborny znawca jego twórczości, Sted to wybitny artysta, który zrobił bardzo wiele dla języka polskiego, poszerzając jego możliwości, czyli zachował się tak, jak poeta powinien. Ale również wykraczał poza poezję. Zrobił bardzo dużo dla psychologii i dla filozofii. Jeśli państwo posłuchacie uważnie [jego piosenek – TP], to będziecie wiedzieli, jak bardzo jest to daleko idąca operacja na języku polskim, jak daleko z notatnikiem w rękę poszedł autor w sfery życia wcześniej polszczyźnie nieznanne. Choćby sposób opisywania olśnienia, które nazywał „całą jaskrawością”.

Stachura, zdaniem Kondraka, był nie tylko poetą, nie tylko pisarzem, nie tylko śpiewakiem swoich pieśni, nie tylko trubadurem. On przekraczał to wszystko – mówił się, że przekroczył literaturę. Pisał w bezokolicznikach, ponieważ to po łacinie jest „infinitivus”, co znaczy „nieskończony” – konstatuje Jan Kondrak – a Stachurę chodziło o nieskończoność, o wieczność, o wejście do wieczności, więc starał się dostosować formy gramatyczne do idei, jakie sobie założył. Nikt

wcześniej na to nie wpadł. Albo np. stosunek do zaimka zwrotnego „się” zrobienie z tego „Pana Się”... Nikt na to wcześniej nie wpadł. Albo do zaimka „to”. Wszystkie: „Przystępuję do ciebie, bo chciałbym jeszcze rzecz bardzo jak feniks napisać”. Albo: „Wszystki to jest splendor: móc i mieć prawo: do siebie uśmiechnąć się”. To są przecież zdania jak gwoździe z krzyża Jezusowego, bardzo wyraźne. Specjalnie tak robione, żeby pokazać światu, jak polszczyznę można modelować.

Skowyt cierpiącej duszy

Po Stachurze pozostały również piosenki. Lecz on ich tak nie nazywał. On śpiewał swoje wiersze. Przejmująco śpiewał. Niebawale śpiewał. Był to fantasmagoryczny śpiew – zew wilka na bezkresnym przeżaskrawym stepie – ocenił Marek Gałązka, który uważany jest za jednego z dwóch najlepszych wykonawców piosenek Stachury.

Sam poeta kiedyś stwierdził, że nie śpiewa dobrze, a gra na gitarze jeszcze gorzej.

Nie jestem zawodowym muzykiem, po prostu ja piszę. I te piosenki są jakimś takim dalszym ciągiem mojej twórczości. One się nie wzięły z niczego, prawda, tylko z tego, co ja do tej pory robiłem i ja nie mam pretensji do tego, żeby śpiewać i grać jak zawodowy śpiewak czy grajek. Tak, że mówię to tylko po to, żeby słuchacze zechcieli łaskawie patrzeć na to i słuchać tego z przymrużonym okiem – te słowa Steda można usłyszeć na winylowej płycie „Edward Stachura – Piosenki”, wydanej na początku lat 80. zeszłego wieku (być może jest już wersja CD).

Jan Kondrak, drugi obok Gałązki mistrz „stachurwego śpiewania”, policzył, że piosenki Steda śpiewało zawodowo około 30 tys. osób. W jednym z wywiadów przyznał, że to, co Stachura pisał jako piosenki nie imponowało mi zrazu. Dopiero po usłyszeniu jak je sam Stachura śpiewał, doceniłem ten skowyt cierpiącej duszy. Zrozumiałem, że piosenki są hologramem próz stachurowych i w połączeniu z lekturą prozy mają pełne i piorunujące znaczenie.

Nieprzypadkowe

I jeszcze raz prof. Krzysztof Rutkowski:

O Stachurze pamiętam stale. Im jestem starszy, tym wyraźniej widzę, jak wiele mu zawdzięczam. I muszę dodać, że coraz mocniej rozumiem, o co mu chodziło, ponieważ z perspektywy ćwierćwiecza – zetknąłem się z jego książkami około roku 1972 – widzę, że nasze spotkanie nie było przypadkowe.

Z podobnej perspektywy patrząc, bo pierwszą książkę Stachury („Wszystko jest poezja”) przeczytałem w 1975, mogę powiedzieć to samo.

Tadeusz Prusiński



Fabula rasa (rzecz o egoizmie), Pojezierze, Olsztyn 1979, wyd. I

Laboratorium Technologii Multimedialnych oraz Platforma Edukacji Informatycznej czekają na studentów OWSIiZ.

Nowoczesne wyposażenie oraz oprogramowanie służy nauce wysoko wyspecjalizowanych umiejętności i zdobywaniu wiedzy potrzebnej w przypadku szybko zmieniających się i unowocześnianych technologii.

Olsztyńska Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania im. Prof. Tadeusza Kotarbińskiego realizuje projekt „Modernizacja Infrastruktury Dydaktycznej na potrzeby Wydziału Informatyki i Nauk Technicznych” współfinansowany ze środków Regionalnego Programu Operacyjnego Warmia i Mazury w latach 2007-2013. Przedmiotem projektu jest modernizacja infrastruktury informatycznej OWSIiZ na potrzeby Wydziału Informatyki i Nauk Technicznych poprzez wyposażenie w nowoczesny sprzęt, oprogramowanie i umeblowanie Laboratorium Technologii Multimedialnych oraz zakup niezbędnego wyposażenia i oprogramowania w celu uruchomienia Platformy Profesjonalnej Edukacji Informatycznej.

W związku z ciągłym wzrostem zapotrzebowania na kadry z konkretnymi umiejętnościami zawodowymi, OWSIiZ kładzie nacisk na praktycznienie kształcenia na kierunkach, które są poszukiwane na rynku pracy w województwie warmińsko-mazurskim. Budowa Laboratorium Technologii Multimedialnych daje możliwość wprowadzenia do programu nauczania, przedmiotów przybliżających zagadnienia projekto-



Fragment wnętrza laboratorium

wania rozwiązań wykorzystujących multimedialną formę informacji. Dzięki temu studenci będą mieli możliwość nabycia niezwykle poszukiwanych umiejętności budowy aplikacji multimedialnych wykorzystujących również środowisko Internetu.

Laboratorium Technologii Multimedialnych posiada stacje komputerowe spełniające wyma-

gania zdefiniowane przez producentów oprogramowania, przystosowane do zaawansowanych czynności związanych z grafiką komputerową (oprogramowaniem edycyjnym, którego celem jest nauka przygotowywania treści multimedialnych do umieszczenia w aplikacjach i stronach www oraz inżynierskim służącym do nauki projektowania z wykorzystaniem narzędzi 2 i 3D). Laboratorium wyposażone jest w niezbędny zestaw narzędzi peryferyjnych: kolorową drukarkę laserową, skaner 3D, kamerę i aparat cyfrowy, projektor i tablice multimedialną.

Platforma Profesjonalnej Edukacji Informatycznej zbudowana jest w oparciu o dwuserwerowy host Linuxowy, udostępniający oprogramowanie zapewniające studentom możliwość pracy z: serwerami baz danych, serwerami hurtowni danych i systemami klasy BI, serwerami aplikacji internetowych, systemami CMS, systemami pracy grupowej, środowiskami projektowania i programowania. Umożliwia to prowadzenie profesjonalnych zajęć w zakresie: projektowania rozwiązań informatycznych wykorzystujących technologie sieciowe, administrowania systemami serwerowymi

ws



KAPITAŁ LUDZKI
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI



UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI
FUNDUSZ SPOŁECZNY



Projekt współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego

PROGRAM OPERACYJNY KAPITAŁ LUDZKI
Priorytet II. Rozwój zasobów ludzkich i potencjału adaptacyjnego przedsiębiorstw oraz poprawa stanu zdrowia osób pracujących
Działanie 2.1 Rozwój kadr nowoczesnej gospodarki

STUDIA PODYPLOMOWE
NA KIERUNKACH:

WYKWALIFIKOWANY MECHATRONIK I INFORMATYK
– STUDIA PODYPLOMOWE DLA PRACOWNIKÓW PRZEDSIĘBIORSTW

Zarządzanie środowiskiem serwerowym przedsiębiorstw

Programowanie obrabiarek sterowanych numerycznie

Technologie multimedialne i grafika komputerowa w przedsiębiorstwach

Komputerowe wspieranie procesów przedsiębiorstwa

Administrowanie sieciami komputerowymi przedsiębiorstw

<http://www.mechatronikinformatyk.edu.pl>



Lider:

Olsztyńska Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania im. Prof. Tadeusza Kotarbińskiego



**OLSZTYŃSKA WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA
im. Prof. Tadeusza Kotarbińskiego**
www.owsiiz.edu.pl

ul. Artyleryjska 3c, 10-165 Olsztyn
tel. 89 534 32 03 wew.36
fax 89 521 88 04
e-mail: mechatronikinformatyk@owsiiz.edu.pl



Partnerzy:

Wyższa Szkoła Informatyki w Łodzi



ul. Rzgowska 17 a, 93-008 Łódź
tel. 42 275 01 00 wew.455
fax 42 640 33 55
e-mail: biuro_projektow@wsinf.edu.pl